

Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

SIEDMIU MAŁO WSPANIAŁYCH



**Przypadek
chodzi
po ludziach...**



SIEDMIU
MAŁO
WSPANIAŁYCH

Jacek
Getner

SIEDMIU
MAŁO
WSPANIAŁYCH

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67915-07-6

ROZDZIAŁ 1

Sztukmistrz spod Lublina

Ewelina Marczak od dość dawna była przekonana, że zginie właśnie dziś. Miało być pięknie, wręcz upalnie. Jedni mieli się cieszyć nadchodzącym latem, a inni narzekać na wysokie temperatury. Ktoś miał się opalać, a inny szukać cienia. A ona miała umrzeć. W niedzielę. Czerwcową niedzielę. Przez pewien czas nie była pewna, w którą — czy drugą, czy trzecią — ale wybrała się do wróżki i ta jej powiedziała, że to będzie czwarta. A ta wróżka nigdy się nie myliła, na jej przepowiedniach polegała połowa artystycznego światka Warszawy! Więc ona sama nie mogła w to wątpić. Czwarta niedziela czerwca będzie dniem jej śmierci.

Czwarta niedziela czerwca w roku... Właściwie jaki my mamy rok? Dwa tysiące jedenasty? Dwunasty? Może trzynasty? A może jeszcze jakiś inny? Nie miała pojęcia, który to rok. Prawdziwi artyści żyją poza czasem. A ona bardzo chciała być prawdziwą artystką. Czuła się nią. Zapytała nawet kilka razy sąsiadów, jaki jest aktualnie dzień, żeby nie przegapić tego, w którym ma umrzeć. Bo była pewna, że to będzie dzień, od którego zaczną rosnąć jej nieśmiertelna sława.

Nie wiedziała tylko, kto ją zabije. Może znany rzeźbiarz Artur Gromulski? Kochał się w niej od dawna, wiedziała to dobrze. Mówił, że jest jego mężą. Lubiła jego ogromne dłonie. Wyobrażała sobie, jak zaciska je na jej delikatnej szyi. A ona powoli odpływa na tamtą stronę. Stronę, po której nie ma już nic. Bo w odróżnieniu od wielu jej znajomych artystów, Ewelina w reinkarnację nie wierzyła.

A jeśli nie Gromulski, to ta jego dziwna narzeczona nienarzeczona, Monika Mrzyk, nazywana przez wszystkich i tak po prostu Rudą. Marcakówna jej nie cierpiała. Nie rozumiała, skąd w takiej paskudzie zmieściło się tyle talentów. Jakby choć jeden z nich nie mógł trafić do niej, do Eweliny. Tak, ta Monika może ją z pewnością zabić. Choćby z zazdrości o urodę Eweliny. Takiemu komuś jak Ruda w przyływie szału łatwo będzie wbić jej nóż w szyję. A właśnie takiego rodzaju śmierci się spodziewała.

Najtrudniej będzie to zrobić Felkowi Łabudzie. Złośliwiec, który każdemu wetknął szpilkę, zawsze był dla niej miły. I beznadziejnie w niej zakochany. Na szczęście darował sobie wszelkie wyznania miłości, bo zrozumiał, że nie miałby szans na wzajemność. Był sporo niższy od Eweliny, musiałby chyba podskoczyć, żeby wbić nóż w jej szyję. Ale z drugiej strony mógł sobie czymś przecież pomóc czy choćby wejść na stół. Tak, dałby jakoś radę i zemścił się za

uczucie odrzucone, zanim zostało wypowiedziane na głos.

A może to będzie jeden z jej sąsiadów? Ten dozorca, który wyjątkowo długo szorował podłogę pod jej drzwiami, chyba w nadziei, że zdenerwuje Ewelinę, a ona wyjdzie niekompletnie ubrana, żeby na niego nakrzyczeć. Albo ten podkomisarz, co wyprowadza często tego swojego jamnika na spacer. On podobno współpracuje z tym słynnym detektywem Przypadkiem. Szkoda, że tamten u niego nie bywa, mógłby być mocno podejrzanym. Tak, to byłoby super, gdyby mordercą był Przypadek. Przecież tak naprawdę to on ją już zabił dawno temu, zanim morderca wbił nóż w jej szyję. Zabił ją, zmuszając pana Klempucha, chyba jedyną osobę, którą tak naprawdę lubiła i ceniła, do ucieczki z kraju.

— Teraz już nikt w tym kraju nie potrafi docenić prawdziwych artystów — szeptała pod nosem. — On był jeden, jedyny, wyjątkowy. Tylko on wierzył w mój nieodkryty talent. Może gdyby nie musiał wyjechać, wszystko potoczyłoby się inaczej. Tak, ten Przypadek powinien za to kiedyś zapłacić. Klempuch mówi, że na pewno za to zapłaci. Ale dzisiaj to już bez znaczenia. Dzisiaj i tak mnie ktoś zabije...

Ktoś mógłby uznać, że Ewelina jest paranoiczką. Ale ona była przekonana, że ktoś z tych podejrzanych wymyślił już genialny plan zamordowania jej.

I nieważne było dla niej, kim on jest i jakie są jego motyw. Istotne było tylko to, że na pewno ktoś z nich to zrobi.

Podeszła do drzwi i sprawdziła dokładnie wszystkie zamki. A potem wróciła do pokoju. Uruchomiła stojący na stole laptop. Małe, intensywnie białe światełko u góry ekranu informowało, że kamera działa i zarejestruje wszystko, co zdarzy się w tym pomieszczeniu. Panował w nim nieznośny upał, który wpadał do środka również przez lekko uchylone okno. Ochłodzenie wciąż było daleko poza granicami Polski i miało nadejść dopiero następnego dnia. Mimo to Ewelina zasłoniła szczelnie okno ciemną, grubą zasłonką. Usiadła na krześle i zapaliła świeżo zakupione środki uspokajające. Gdy został jej się w dłoniach niedopałek, odwróciła się w stronę laptopa i uśmiechając się, powiedziała:

— No to zobaczmy, kto mnie zabije.

Podkomisarz Zenon Łoś był pewien, że ściany aresztu, w którym się aktualnie znajdował, powinny nosić na sobie wiele napisów zniesławiających jego osobę. Na pewno bowiem oglądały niejednego przestępcę, którego zatrzymał dzielny policjant w trakcie swojej kariery. Od wielu lat był postrachem mniej lub bardziej groźnych rzezimieszków, popełniających swe nieuczyny w stolicy Polski lub jej najbliższych okolicach.

Nie jeden z nich z pewnością go przeklinał i zapewniał cały świat, że gdyby nie ten Łoś, to nikt by go nie złapał. I naturalnie musiał dać temu wyraz na ścianach aresztu. Jedyne sprawności służby więziennej można przypisać brak inkryminowanych napisów w zasięgu wzroku. Lecz bez cienia wątpliwości były takie chwile, gdy nim zniknęły one pod warstwą farby, zdobiły te pomieszczenia.

Dlatego, mimo iż podkomisarz przebywał tu prawie tydzień, wciąż nie mógł uwierzyć w to wszystko, co się stało. Co gorsza, z każdym kolejnym dniem nie mógł uwierzyć coraz bardziej. No bo w jaki sposób mogli posądzić o zamordowanie bezbronnej kobiety policjanta z jego stażem?! O wbicie jej noża w szyję?! Nie miał z nią praktycznie żadnego kontaktu, była wyłącznie jego sąsiadką, którą z rzadka mijał na korytarzu, bo prowadzili odmienne tryby życia. On, mimo tego, że był policjantem, w nocy raczej sypiał, ona, Ewelina Marczak, muza artystów, wtedy dopiero się budziła.

— Głowa do góry, wyciągnę pana z tego — powiedział do niego detektyw Przypadek, którego z kolei osoby powszechnie uważane za przestępców raczej się nie bały.

Za to ci uchodzący za przyzwoitych i jak najbardziej godnych szacunku ludzi drżeli na sam dźwięk jego nazwiska. W całej Warszawie panowała bowiem

zgodna opinia, że im bardziej poważany obywatel, tym większe prawdopodobieństwo, że beczelny detektyw coś na niego znajdzie. Przypisywano to temu, że tak naprawdę jest jasnowidzem, bo właśnie za tego typu usługi wystawiał faktury, i tym tylko tłumaczono sobie jego nadzwyczajne zdolności znajdowania brudnych plam na czystych kartach życiorysów ludzi sukcesu.

Teraz detektyw siedział naprzeciw podkomisarza w towarzystwie tego swojego śmiesznego kolegi, adwokata Błażeja Sakowicza. Mecenas znany był niegdyś z tego, że był przekonany o tym, iż pożądamy go wszystkie kobiety świata. Bo jest najbardziej ognistym kogutem, choć wyglądem przypomina zmokłą kurę. Trzeba jednak było przyznać, że jako adwokat osiągał znakomite rezultaty, dlatego w tej kwestii jego pełne pewności siebie oświadczenie było jak najbardziej na miejscu.

— Razem pana z tego wyciągniemy. Na narzędziu zbrodni brak jest pańskich odcisków palców, zresztą nie ma tam żadnych odcisków. Tak jak nie ma innych dowodów na to, że zabił pan Ewelinę Marcak. Są tylko silne poszlaki, których wartość procesową z łatwością podważymy.

— Ale skąd w ogóle te poszlaki?! — denerwował się policjant.

— Przecież to oczywiste, wrabiają pana — powiedział Jacek.

— Tyle to i ja wiem. Ale kto?! I po co?! Ja się nigdy nie wychylałem, nigdy nikomu świni nie podłożyłem. To dlaczego?!

— Obawiam się, że nie o pana tu chodzi, ale o mnie — oświadczył detektyw.

— No tak, jeszcze to. Nie dość, że ktoś mnie chce zrobić w morderstwo, to w dodatku nie ze względu na mnie samego, tylko przez pana — pożalił się Łoś. — Może gdyby pan się ode mnie odczepił i dał mi spokój, to nikt by nie chciał mnie wrabiać?

— Na to już za późno, panie podkomisarzu...

— I jeszcze ten „podkomisarz”! — wybuchnął policjant. — Tak, wiem, że jestem podkomisarzem. Gdyby nie pan, już dawno byłbym komisarzem! Ale i tak wszyscy mówią do mnie „komisarzu Łoś!”. Tak się mówi przez grzeczność. A pan do mnie uparcie z tym podkomisarzem wyjeżdża od ponad dwóch lat! Od chwili, kiedy na swoje nieszczęście pana poznałem!

— Obiecuję, że od tej pory będę pana tytułował komisarzem — zgodził się potulnie detektyw, bo czuł się naprawdę winny. — Ale mogę pana uspokoić, że to aresztowanie to jak najbardziej pana zasługa.

— W jakim sensie?

— To wszystko przez to, że pan mi pomagał — powiedział absolutnie poważnie Przypadek.

Za to Sakowicz z trudem zagryzł zęby, żeby się nie roześmiać, co zauważył Łoś.

— Znowu sobie pan ze mnie stroi żarty! — zdenrowował się policjant. — Dobrze wiem, że pan o tej pomocy to cały czas mi mówił, żeby mnie tylko zdenrowować, bo pan wie, że moi przełożeni zabronili mi panu pomagać, a po prostu kazali patrzeć na ręce!

— Owszem, czasem zdarzało mi się z tego żartować — przyznał uczciwie detektyw. — Ale w tym momencie mówię absolutnie serio.

Zarówno podkomisarz Łoś, jak i mecenas Sakowicz obrzucili Przypadka podejrzliwym spojrzeniem. Jednak detektyw nie miał na obliczu słynnego ironiczno-dobrotliwo-pobłażliwego uśmiechu, z którego był znany i który wielu ludzi doprowadzał do wściekłości. W tej chwili naprawdę wyglądał na szczerego.

— Czyli że ktoś się rzeczywiście bał, że panu pomożę? — upewnił się Łoś.

— Tak właśnie, panie komisarzu — potwierdził Jacek. — Nie wiem dokładnie, w jakiej sprawie, bo to kwestia przyszłości, a ja, wbrew opinii niezbyt mądrych osób, nie jestem jasnowiedzem. Ale wiem, kto to był.

— Kto? — zapytali niemal chórem Łoś i Sakowicz, bo nawet przyjaciel Przypadka nie był wprowadzony w jego podejrzenia.

— Klempuch. — Detektyw wymienił nazwisko swojego największego wroga.

— Przecież on uciekł z Polski i jest poszukiwany przez wszystkie policje świata — zdziwił się Łoś. — On

ma teraz na głowie co innego niż wrabiać mnie w morderstwo.

— Poszukują go już prawie rok i ani widu, ani sły-
chu o nim. Sam fakt, że mógł z Polski uciec bez naj-
mniejszego problemu, świadczy najlepiej o tym, jak
wielkie i potężne ma wpływy. A poza tym, jeśli pan
pamięta, panie komisarzu, on był znanym mecenasem
wszystkich nowoczesnych artystów, z których sztuki
bez intensywnego z ich strony tłumaczenia nie dałoby
się nic zrozumieć.

— No tak, to jest poszlaka. — Podkomisarz Łoś
podkręcił węża, co jak zwykle było u niego znakiem
intensywnego procesu myślowego. — Jednak niezbyt
silna.

— Dlatego nie mam pewności, że to on. I wiem,
nadeptuję na odcisk wielu ważnym ludziom i niejeden
z nich mógłby się chcieć na mnie zemścić. Ale żeby
przy okazji zrobić niewinnego człowieka w zabój-
stwo, to tylko on przychodzi mi do głowy. I zdaje się,
że szykuje jakiś grubszy numer, nie dotyczący nawet
mnie bezpośrednio, ale z jakichś przyczyn obawia
się, że mógłbym mu przeszkodzić. No i uznał, że pan
mógłby mi w tym przeszkadzaniu znacząco pomóc.

Trudno powiedzieć, czy podkomisarz Łoś poczuł
się dużo lepiej. W końcu jego położenie nie uległo
diametralnej zmianie. Wciąż był oskarżony o zabój-
stwo Eweliny Marcak. Jednak teraz zyskał poczucie,

że to oskarżenie ma sens. Że świadczy o tym, że on, Zenon Łoś, jest kimś ważnym. I to poprawiło mu nieco humor.

— A może facet chce po prostu wrócić do Polski? — zastanawiał się Błażej Sakowicz.

— Nie — zaprzeczył Jacek. — Gdyby chciał po prostu wrócić, kupiłby sobie połowę telewizji i gazet i wyprodukował mnóstwo ckliwych reportaży o tym, jak został niewinnie skrzywdzony przez krwiożerczego detektywa, i dziennikarze niemal na kolanach błagali by go, aby wrócił do tego kraju, bo ten kraj potrzebuje takich jak on. On musi mieć inny cel. Ale na razie i tak go nie poznamy. Trzeba się zająć wydostaniem z tarapatów pana komisarza.

— Może pan pogada z Dyndą? — zaproponował Łoś. — Wie pan, to ten, co mnie aresztował.

— Pamiętam. Ale na to jeszcze przyjdzie pora. Na początek chciałbym porozmawiać z pana partnerem, starszym aspirantem Smańko.

— On dopiero co wrócił z urlopu. Poza tym na pewno odsunęli go od sprawy, nic nie wie.

— Na pewno wie, co się szepcze o tej sprawie na policyjnych korytarzach, a to już dużo — stwierdził Przypadek i zapytał: — Proszę powiedzieć, podejrzewa pan kogoś o morderstwo?

— Najbardziej takiego jednego artystę spod Lublina. Gromulski się nazywa.

Ewaryst Rost, właściciel galerii sztuki nowoczesnej, wciąż wyglądał niemal tak samo jak wtedy, gdy Jacek Przypadek odwiedził go ponad dwa lata temu. Czyli tak, jakby zaprojektował go futurysta. Różnej długości nogawki spodni, szkła okularów w dwóch kolorach, oraz marynarka po młodszym bracie znamionowały człowieka, któremu nieobcy jest świat artystów.

W tej chwili patrzył w skupieniu na najnowszą rzeźbę Artura Gromulskiego, rosłego bruneta o krzaczących brwiach i dłoniach wielkich jak bochen chleba. Marszand zastanawiał się nawet, czy do splątania tych wszystkich prętów składających się na nią użył on jakichś narzędzi, czy wystarczyła mu wyłącznie siła własnych rąk. Niezależnie jednak od tego, jaka była technika wykonania tego dzieła o tytule *E.*, to było coś, co niepokoiło Rosta. I ten niepokój odbijający się na jego twarzy został zauważony przez artystę.

— No co, nie podoba ci się? — zapytał groźnie Gromulski.

— Ależ skąd — zaprzeczył żywo marszand. Nie tylko dlatego, że bał się rosłego artysty, ale głównie ze względu na to, że był tak wielkim fanem sztuki nowoczesnej, że trudno mu było znaleźć należące do tego gatunku prace, które nie wzbudziłyby jego zachwyty.

Musiał być jednak przy okazji również biznesmenem, a jako taki zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy na równi z nim zachwycają się owymi dziełami.

Dlatego potrzebował czegoś, co bardziej przekonywałoby ewentualnych nabywców.

— Tylko widzisz... — szukał w głowie odpowiednich słów, które nie uraziłyby uczuć artysty — ...to jest takie enigmatyczne.

— Zawsze byłem enigmatyczny. — Gromulski wzruszył ramionami. — Dlatego tak długo mnie nie rozumiano. Ale myślałem, że chociaż ty, Ewaryście, będziesz wiedział, o co mi chodzi.

— Ja wiem, o co ci chodzi — zapewnił go Rost. — No ale wiesz, w tym kraju to właściwie sami ignoranci, jeśli chodzi o sztukę nowoczesną. Jeden Klempuch chyba naprawdę się na niej znał. A inni tylko inwestują. I muszą w miarę dokładnie wiedzieć, co kupują. — Marszand nalał sobie wody do szklanki, bo wrześnieowy dzień był bardzo upalny.

— Kupują rzeźbę Artura Gromulskiego i to powinno im wystarczyć — oświadczył hardo posiadacz wielkich dłoni. — Ale fakt, brak jest na rynku Klempucha. Dzięki niemu ceny były naprawdę przyzwoite. Miał trzy moje rzeźby. Tę by także na pewno kupił. — Pokazał na plątaninę powyginanych prętów. — Też uważał, że Ewelina to niezwykła kobieta. Może dlatego ją zabił.

— Co?!?!? — Ewaryst Rost, zamiast wypić wodę, parsknął nią na artystę spod Lublina niczym słoń ochlapujący turystów przy pomocy trąby.

— No tak. Nie domyśliłeś się, że dałem tytuł *E.* na jej cześć?

— Tak, tak... Khe... tytuł *E.* no właśnie... Khe... tak podejrzewałem... Khe... — bełkotał marszand, próbując jakoś odkaslnąć zakrztuszenie.

— Ściemniasz, Ewaryst. Nawet ty nie poznałeś, że ta rzeźba to po prostu akt Eweliny. Przyznaj się.

— No dobrze, przyznaję się, ale... Ja nie o tym. Ja o tym, kto zabił Ewelinę.

— Czy to ważne, kto to zrobił? I tak nie żyje, a życie wciąż trwa, dopóki mamy otwarte oczy i czujemy ból — stwierdził niemal filozoficznie.

Ewaryst Rost chciał jeszcze o coś zapytać, ale w tym momencie odezwał się dzwonek do drzwi. A w zasadzie nie był to dzwonek, ale *Marsz imperialny z Gwiezdnych wojen* wykonany przy pomocy tego osobliwego instrumentu. Sprawił on, że wielki, spokojny i niemal flegmatyczny Gromulski podskoczył przestraszony.

— To Ruda! — wykrzyknął przerażony artysta spod Lublina. — Tylko ona tak dzwoni. To przez tego jej Aspergera. Muszę schować rzeźbę!

— Dlaczego? — zdziwił się marszand.

— Ruda zawsze była zazdrosna o Ewelinę. Jak się dowie, że mi pozowała do aktu, to się wścieknie. — Pokazał na płataninę wygiętych metalowych prętów, cały czas rozglądając się panicznie za czymś do jej przykrycia.

— Może się nie zorientuje? — wyraził przypuszczenie pan Ewaryst, który musiał uczciwie przyznać, że ciężko być zazdrosnym o tę artystyczną interpretację nagiego ciała.

— Nie zorientować to się możesz ty, ignorancie! A Ruda zawsze wie, co ja tworzę. Nawet jak się sam nie orientuję, o co mi chodzi, to ona bezbłędnie to rozpoznaje! To też pewnie przez jej Aspergera.

Ponownie usłyszeli *Marsz imperialny* wykonany dzwonkiem i tym razem zabrzmiał on jeszcze bardziej złowieszczo niż uprzednio. Spanikowany Gromulski chwycił swe dzieło, uchylił drzwi balkonowe i wystawił akt na zewnątrz. Potem zamknął drzwi i zasłonił je grubymi roletami, tak że w salonie zapadła niemal ciemność. Wychodząc do przedpokoju, włączył jeszcze światło i w pomieszczeniu znów zrobiło się jaśniej. Kiedy zaś pierwsze takty zagranego dzwonkiem po raz trzeci *Marsza imperialnego* dały się słyszeć ponownie, z uśmiechem na twarzy przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi. Jednak zamiast dzikiego oblicza Rudej, zobaczył niskiego jasnego blondynka, który patrzył na niego rozbawiony.

— Felek, co to za dowcipy? — zdenerwował się. — Myślałem, że się cały czas szykujesz na wernisaż swojej wystawy.

— Wernisaż mam za tydzień i tylko jeszcze jedną instalację do zrobienia — Felek Łabuda machnął

lekceważąco ręką — to pomyślałem, że wpadnę kumpla odwiedzić.

— Zajęty trochę jestem.

— A co, jakąś nową muzę przyjmujesz i boisz się, że cię Ruda nakryje? — Blondynek wszedł do mieszkania Gromulskiego nieproszony.

— Jest u mnie tylko Ewaryst.

Na potwierdzenie jego słów z salonu wychylił się Rost.

— O, pan marszand. — Blondynek uśmiechnął się złośliwie. — Ale co tu w tym salonie tak ciemno? Środek dnia, a palisz światło? To nieekologiczne przecież. A ty jesteś eko do bólu — zakpił, bo choć sam musiał przestrzegać zasad ekologii, by nie być wyklętym ze środowiska, to nie był do nich przekonany.

— Ewaryst wybiera prace do swojej galerii, a ponieważ ostatnio mam mroczny okres w swojej twórczości, tworzę je wyłącznie nocami i uważam, że przy świetle słońca nie wyglądałyby dobrze — skłamał gładko artysta spod Lublina, któremu przyszło to tym łatwiej, że w objaśnianiu istoty swych dzieł maluczkim miał ogromne doświadczenie.

Kiedyś zdarzyło mu się nawet opisać przyniesiony ze skupu złom jako sprzeciw wobec dyktatury konsumpcjonizmu wyrażony w destrukcji wewnątrz przedmiotów codziennego użytku.

— Jak zwykle ściemniasz. — Blondynek bezceremonialnie odsłonił zasłonę balkonową i wyjrzał na zewnątrz. — Ano tak, to pewnie ten akt Eweliny? — Wskazał na płataninę pogiętych prętów, Ewaryst Rost pomyślał zaś, że chyba się starzeje, skoro on, tak wybitny znawca sztuki nowoczesnej, nie był w stanie odgadnąć, o co w tej rzeźbie chodzi, a dla innych to tak oczywiste.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — siedł w zaparte artysta spod Lublina.

— Dobra, dobra. Ewelinka nie miała przede mną tajemnic, mówiła, że ją zbajerowałeś na pozowanie do aktu. — Blondynek otworzył balkon, podniósł rzeźbę i popatrzył na nią krytycznie. — Gdzie tu Ewelina? Chyba rzeczywiście tylko Ruda potrafiła ją w tym zobaczyć. Pewnie się wściekła i dlatego zabiła nam Ewelinkę.

— Co ty gadasz?! — zaprotestował Gromulski. — Ruda nie widziała tego aktu.

— To się jeszcze okaże. Jak ją tam Przypadek przyciśnie, to do wszystkiego się przyzna. — Łabuda po kiwał głową.

— Przypadek? Jaki Przypadek? — Zaniepokojony Rost zastrzygł uszami.

— Co, pan marszand nie słyszał o najbardziej wkurzającym gnojku w Warszawie, przed którym drżą wszystkie szychy?